



Stojąc na dachu ambasady amerykańskiej, widziałem niemiecki samolot zestrzelony bezpośrednio nad nami. Wystrzelono dziesięć pocisków przeciwlotniczych i widziałem, jak każdy z pocisków smugowych, zostawiając za sobą czerwoną fosforową wstążkę, leci wdzięcznym łukiem trzy tysiące metrów w górę, gdzie eksploduje, zostawiając małą chmurkę czarnego dymu. Dziewięć chybiło samolot, ale dziesiąty najwidoczniej trafił bezpośrednio. Na szczęście miałem ze sobą kamerę filmową i zarejestrowałem obraz niemieckiego samolotu spadającego w płomieniach.

Pobiegliśmy na miejsce upadku i znaleźliśmy dymiące szczątki wielkiego bombowca. Czterooosobowa załoga zginęła na miejscu. Chociaż wydawało się, że miejsce upadku było blisko, w rzeczywistości samolot rozbił się w odległości ponad półtora kilometra od ambasady, na zboczu pagórka pomiędzy dwoma nowoczesnymi domami mieszkalnymiⁱ. Żaden cywil nie zginął. Silniki oderwały się i leżały z poskręcanyimi i powyginanyimi śmigłami. Podniosłem jeden ze spadochronów. Była na nim metka: „Wyprodukowany w 1936 roku”.

Przypuszczam, że jako człowiek o przyzwoitych odruchach powinienem czuć się fatalnie, widząc samolot spadający razem z załogą. Ale przyłączyłem się do wrzeszczących i wiwatujących dwóch innych Amerykanów z ambasady. Zapomnieliśmy o znajdujących się w Niemczech rodzinach tych lotników. Wiedzieliśmy tylko, że byli przedstawicielami rządu, który od trzech tygodni z zimną krwią zabijał bezbronnych ludzi. Cieszyliśmy się, że nie żyją. Tak właśnie wojna zmienia człowieka.

ⁱ Samolot rozbił się 11 września o skarpę nad ul. Dynasy. Por. *Warszawska Straż Ogniowa – Fragmenty sprawozdania o działalności Straży we wrześniu 1939 r.* [w:] *Cywilna Obrona Warszawy we wrześniu 1939 r. Dokumenty, materiały prasowe, wspomnienia i relacje.*, [oprac.] L. Dobroszycki, M. Drozdowski, M. Getter, A. Słomczyński, Warszawa 1964, s. 442.